

MICHAŁ MORPHY.

## KRWAWÉ MILIONY.

Tłum. z francuskiego MARYA SEGENY.

31

Markiza odgadła łatwo, że wesołe słowa Allana pokrywały głębokie wzruszenie i radość. I ona czuła, jak żywe, radosne uczucie ogarnęło całą jej istotę, uczucie zrodzone na niespodziewanej nadziei! Czy to być mogło, aby Kermorowie, uwolnieni na zaw sze od strasznej zimy, w osobie bankiera de Bressien, odżyli, zmartwychwstali na nowo, w całej pełni dawnego dobrobytu i szczęścia?

— Interes udał się wyśmienicie — ciągnął dalej Allan. — Panna de Bressien została moim do wodem zaskoczona, przybita i tak zmiażdżona, że nie ośmieliła się już przeczytać. Zrzuciła z siebie maskę, a to, co było pod nią, naprawdę było bardzo brzydkie i głupie.

— Rzeczywiście — oświadczyła markiza — odkrycie tej brzydoty nappełniło mnie obrzydzeniem. Nie zapomnę nigdy tej chwili, zaręczam panu.

— Ale nie będzie pani czuć do mnie żalu, że to się stało przeze mnie, nieprawdaż?

— Przeciwnie, wdzięczna jestem panu. To była dla mnie rzecz nieoceniona. Uwolniłeś mnie pan od przykrego snu. Niech pan pomyśli, że mój Henryk mógł być posłubić tę niegodną dziewczynę.

— Pani Markiza nie wie jeszcze wszystkiego. Proszę przeczytać ten cenny dokument, a już cały podstęp tej pięknej bankierówny i jej ojca wiadomy pani będzie. Jest to szczęśliwy rezultat mojej całodziennej pracy, z której naprawdę dumny jestem.

Allan podał markizie zeznanie Andrzeja Delrue i bacznie śledził wrażenie, jakie na niej ono uczyni.

W miarę czytania twarz markizy wyrażała zdumienie, przestrasz i oburzenie.

— Ach, nędznicy! — zawołała w końcu, drżąc ze wzruszenia. — Co oni uczynili z tą biedną dziewczyną. Ona w więzieniu! Nie, to nie do wiary!

— Cierpienia jej skończyły się już, zapewniam panią — wyrzekł poważnie Allan — przysięgam, że odtąd tylko szczęśliwą będzie.

Markiza raz jeszcze przeczytała nieszczęsny papier, jak gdyby nie wierząc własnym oczom. Delrue był jej zawsze niesympatycznym, ale nie przypuszczała nigdy, aby był zdolny do takiej potwornej podłości.

— Jak mógł go pan zmusić do podpisania tej deklaracji? — zapytała, patrząc z podziwem w rozradowaną twarz Allana.

— Przyszło mi to bardzo łatwo. Naprzód mówilem mu o rzeczach nadzwyczaj dla niego nieprzyjemnych. Wspominałem, że jestem w posiadaniu odbitki fotograficznej sfalszowanego przez niego kwitu zastawniczego, że mogę natychmiast uczynić z tego użytek w prokuratury, zrujnować go, zamknąć na zawsze nowy jego bank, do którego przykładam tyle nadziei, w końcu zagroziłem mu rewolwerem. To się mu najmniej podobało, bo przy swojej podłości tchórzem jest i ceni życie.

— I byłby pan urzeczywistnił swoje pogroźki, panie Allan?

— Nie wiem doprawdy. W każdym razie coś z nim musiałbym uczynić. Następnie ofiarowałem mu milion franków za łaskawe napisanie kilku słów. Wybrał to ostatnie. Widocznie nie bardzo sprytny jest i przewidujący. Muszę przyznać, że nie pozostawiłem mu wiele czasu do namysłu. Jak się ma dobrą myśl w głowie, trzeba się spieszyć.

— Więc pozostał całkiem na łasce pana i odkrył wszystko?

— Nie potrzebował nic odkrywać, bo wszystko mi było wiadome. Przyznał się, kłamiąc, jak najwięcej, ale to mi było obojętne.

— Musiał mieć pan przeciw niemu broń poważną, skoro tak zakończyło się wasze spotkanie.

— To prawda. Jestem z natury ciekawy. Lubię chodzić, badać, wypytywać się. Tak robiłem wczoraj. Widziałem się z pewnym waryatem, dozorczynią domu, starym posługaczem, byłem na policyi, w więzieniu. Może pani markiza ciekawa szczegółów?

— Ależ proszę, słucham jak najchętniej.

Allan, w krótkich słowach, wtajemniczył panią de Kermor, w jaki sposób użył swojego czasu, aby jak najwięcej zebrać dowodów, kompromitujących Andrzeja Delrue. Pani de Kermor słuchała go z przerażeniem i rosnącym podziwem. Jakże Allan mógł to wszystko uczynić w przeciągu dwudziestu cze-

rech godzin? Kiedy powiedział jej, że Janina, przebywając u pani Wiktorii, miała opiekę i obronę w przyjaciółce swojej Luizie — markiza zawołała wzruszona:

— Ależ ona tu była! To ona napewno! Przyszłam jej z pomocą, bo skierowała ją do mnie matka Franciszka z Przytułku dla kobiet. Tego samego dnia jeszcze odwiedziłam matkę Franciszkę. Wspominała o drugiej młodej dziewczynie, blondynce, która była w więzieniu, a ja nie wiedziałam, że to nasza biedna Janina. Co za fatalność!

— Powtarzam pani, że nieszczęścia Janiny już się skończyły. Dziś jeszcze wieczorem będę w Bretanii, a jutro, o świcie, odwiedzę moją siostrzenicę.

— Niech ją pan gorąco uściska odemnie! Gdyby pan wiedział, jakie ciężkie czynię sobie wyrzuty, że mogłam ją również posadzać i nie wierzyć w jej uczciwe zamiary. Ja pojedę z panem do niej!

— Biegam panią, nie czyni tego — odparł poważnie Allan. — Nie trzeba, aby pani markiza się z nią widziała, aż będę całkiem poinformowany o wszystkim.

— Poinformowany? Czyż pan już nim nie jest?

— Jeszcze nie, panie markizo!

Allan opowiadał dalej, nie zaniebując najmniejszych szczegółów.

— Gdyby mój Henryk mógł pana słyszeć — przerwała mu markiza. — Gdyby mógł zeznanie to przeczytać! on, który żyje w ciągłej niepewności i rozpacz.

— Przeczyta je za kilka godzin — odpowiedział spokojnie Allan. — Depesza już odeszła do niego. Zrujnowała mnie ona co prawda, ale trudno! Sądję, że Henryk zwróci mi koszt tak dobrej wiadomości, nieprawdaż, panie markizo?

— Ależ oczywiście. Ale panie Allan, jeżeli pan potrzebuje na razie pieniędzy, to służę panu.

— Dziękuję pani. Dzięki Bogu mam na podobne wypadki odłożoną rezerwę. Ale skoro mówimy o pieniądzach, mam jeszcze prośbę do pani markizy.

Już z góry załatwiona, panie Allan. Proszę mi tylko prędko powiedzieć, co to takiego?

— Jest to zlecenie od pana markiza.

— Od mojego męża?

— Tak. A pani, jako żona, tego zlecenia, a właściwie rozkazu, lekceważyć nie może.

— Nie lekceważyć i poddaję się z uległością, ale słowa pana dziwią mnie bardzo. Pan de Kermor nie przyzwyczaił mnie wcale do słuchania jego rozkazów.

— Otóż pan markiz żąda, aby mi pani wręczyła natychmiast papiery barona de Bressien, które mam przejrzeć i doprowadzić do porządku. Jeżeli tego zaraz nie uczynię, staną się nieprzyjemne rzeczy na bulwarze Hausmanna.

Rozkaz markiza ogromnie mnie zadziwia — powtórzyła raz jeszcze markiza.

— Panie zawsze wszystkiemu dziwić się lubicie — odparł Allan. — Niechże pani wie, że ja teraz zastępuję sekretarza Andrzeja Delrue i proszę wierzyć, że będę bardzo ciężki do przekupienia. Czy zechce mnie pani obdarzyć odrobiną zaufania?

— Odrobiną zaufania? Ależ posiada je pan w całej pełni!

— Markiz nadał mi prawo, które mógłbym spożytkować dla siebie, gdybym był nieuczciwym człowiekiem. Ale ja pragnę jego sprawy dobrze prowadzić.

— Dobrze więc, usłucham pana. Proszę, niech pan idzie za mną do gabinetu męża. Co tam takiego? — zwróciła się markiza do wchodzącego służącego.

— List dla pani markizy.

— Proszę dać. Pozwoli pan, że otworzę.

Pani de Kermor rozerwała kopertę i czytała.

— „Pani. — Niewiem, czy to szlachetnie wyrzucać za drzwi dawnych swoich wierzycieli, w chwili kiedy się zjawia nowy dostawca środków. Wobec zachowania się pani jestem zmuszona donieść, że wszelkie kwity i weksle z męża pani podpisem i pani — są złożone do kasy, a w razie nie wycofania ich do wieczora, będą jutro wręczone adwokatowi, który poprowadzi w danym kierunku sprawę. Piszę to w zastępstwie i z rozkazu ojca — Sydonia de Bressien.“

Markiza podała list Allanowi.

— Niech pan przeczyta. Widzi pan, że teraz od pokierowania przez pana naszych interesów zależy wszystko.

— Sprawi mi to najwyższą przyjemność — odparł Allan. — Ho! ho! Jakim urzędowym stylem wyraża się panna bankierówna! Może się uspokoić! Dziś załatwimy wszystko! Nie damy się jej niecierpliwić. Jeszcze przed godziną drugą rozmówimy się ostatecznie! Panna Sydonia jest jednak napra-

wdę naiwna. Sądzi, że do jutra zwlekać będziemy. Jutro? Daleko już będę stąd. Mój automobil to nie wóz ciężarowy, dzięki Bogu!

Allan nadbrał miną, a w gruncie rzeczy nie czuł się zadowolonym. Cierpiał głęboko nad upokorzeniem, jakie wobec niego musiała doznać pani de Kermor. Po chwili namysłu — zwrócił się do niej ze swobodnym pozornie pytaniem:

— Czy mogę prosić panią o podpis, upoważniający mnie do działania? Nie wykorzystam go, ale bez tego nic czynić nie mogę. Zupełnie normalnem będzie, jeżeli ja sam załatwię całe te rachunki, a od pani wezmę pewną gwarancję. Bank francuski wypłaci natychmiast i skończymy z miłą rodziną de Bressien. Pieniądze są już w drodze. Depeszowałem po nie.

Allan zacierał ręce, niewiadomo tylko, czy ze złości na barona, czy z zadowolenia.

— Oto wspaniały dzień dla mnie! Baron de Bressien pospieszył się zanadto i robi zły interes, a jest nadzieja, że to już będzie ostatni.

Przeszli do gabinetu markiza, gdzie pani de Kermor wręczyła Allanowi wszystkie rachunki barona do przejrzenia.

Kiedy się już zabierał do odejścia, pani de Kermor, żegnając go serdecznie, zapytała z niepokojem w głosie:

— Więc nie mogę pana obarczyć żadnem zleceniem do Bretanii?

— Bardzo mi przykro, panie markizo, ale podjąć się tego teraz nie mogę. Popsułoby to cały mój plan misternie zbudowany.

— Życzę panu powodzenia i prędkiego powrotu, panie Allan.

— Dziękuję. Powrócę niedługo. Muszę się jeszcze raz zobaczyć z panem de Bressien. Pozwoli pani, że zadepeszuję markizowi, że zastałem panią spokojną i zdrową i że panna Sydonia zagrała w otwarte karty?

— Tak, panie Allan, proszę pana o to...

— A teraz już uciekać muszę, droga pani. Czas nagli, a dziś jeszcze mam ważne rzeczy do załatwienia.

Ucałowawszy ze czcią ręce wzruszonej markizy, wyszedł spieszenie i wskoczył do automobiłu. W niespełną godzinę zdołał wysłać długą depeszę do Henryka, uregulować rachunki w banku i wysłać do pałacyku przy ulicy Beotic wspaniały bukiet herbacianych róż, wiedząc, że są ulubionym kwiatem pani de Kermor.

I już potem automobil niczem niepowstrzymany ruszył w szalonym pędzie szeroką drogą, wiodącą do Bretanii.

## Odwet.

Są ludzie, posiadający taką niezaprzeczoną wyższość i przewagę nad drugimi, iż bez trudu umieją wzbudzić w nich posłuszeństwo i uległość. Przewaga ta, czysto duchowa, graniczy z sugestią hypnotyczną. Poddawała się jej bez buntu Sydonia, znalazłszy się wobec Allana le Breun w salonie markizy de Kermor. Z własnej woli, widząc, że nie oprze się sile, która powstała przeciw niej, podążyła ku wyjściu powornie i biernie, jak winowajca, pragnący jak najszybciej uciec przed badawczym wzrokiem sędziego. Lęk ją jakiś ogarnął, z którego nie mogła sobie zdac sprawy. Przeraziła ją myśl, że z tego domu, do którego wejsz wkrótce miała jako władczyni i pani, każą ją teraz służbie sromotnie wypędzić. Dopiero, gdy znalazła się na ulicy, nastąpiła w jej nerwach reakcja. Kruchość jej i namiętna natura zbuntowała się przeciw narzuconej sobie obcej woli i doznanej porażce. Była wściekła na siebie za tę chwilową słabość energii i utratę zwykłej równowagi.

— Jestem podła i słaba istota! — szepnęła do siebie, wstrząsana gniewem. — Dlaczego pozwoliłam, żeby się tak stało? Dlaczego nie odpowiedziałam stosownie. Miałam przecież odpowiedzieć gotową.

Bez straty czasu wstąpiła do biura pocztowego i stamtąd wysłała znany nam list do markizy, poczem zdenerwowana i niezadowolona powróciła do swojego mieszkania.

Zte jej usposobienie odbiło się na całym jej otoczeniu. Służbie czyniła ostre wymówki. Ojciec jej miał za dwie godziny powrócić, a nic na jego przyjęcie przygotowanym nie było! Zatelefonowała do naczelnego dyrektora banku w kilku ostrych słowach, żeby się wstrzymał z wydaniem jakichkolwiek rozkazów na przyszłość, gdyż ster interesów obejmie lada dzień pryncypał, a był już wielki czas po temu. Wszystko ulegnie zasadniczej zmianie.

Sydonia nie wiedziała, jak uspokoić swoją nerwowość. Po godzinie bezcelowego szarpania się po mieszkaniu, wyszła i udała się do Andrzeja Delrue.